

DYSKUSJE I POLEMIKI

Henryk Ślabek

Warszawa

Władza i intelektualiści

Otrzymaliśmy wielką książkę o intelektualistach¹, wielką również ze względu na objętość (ok. 50 arkuszy wydawniczych) oraz jej zasięg terytorialny (Europa) i chronologiczny (pierwsza połowa XX w. Nieunikniona w opracowaniu historycznym mnogość opisów zdominowała w jakimś stopniu warstwę analiz, refleksji i wyjaśnień dlatego także, że Autor — co już we wstępie zapowiada — rzeczywiście posłużył się przede wszystkim regułami właściwymi „historii politycznej, zdarzeniowej” (s. 16).

Wyboru takiej właśnie metody dokonano niejako z konieczności. Albowiem w obliczu ciągle niezadowolającego stanu wiedzy o wielu ważnych kwestiach (zwłaszcza z historii ZSRR), autor nie widział szans na opracowanie miarodajnej syntezy. A sama rozległość tematu, jak i utrudnienia towarzyszące badaniom archiwalnym zdawały się wręcz wykluczać możliwość napisania monografii.

Praca zatem, przedstawiając panoramę często bardzo zróżnicowanych, odległych od siebie i autonomicznych wątków tematu nie jest „studium typowym” (s. 18); jest właśnie tylko czy aż panoramą spraw, co zaznaczono nieprzypadkowo już w tytule książki.

Podstawę opracowania stanowią informacje czerpane głównie z wielojęzycznej literatury przedmiotu, a także z różnych informatorów, ze słowników biograficznych, kompendiów, leksykonów.

Dlaczego wybitni intelektualiści — mówiąc językiem poety „najlepsze umysły Europy” (Cz. Miłosz) — Ignęli po II wojnie zwłaszcza do marksizmu i komunizmu? Ze stanowiska obowiązującej w pierwszej połowie lat 90. „poprawności politycznej” odpowiedź byłaby raczej prosta; bo byli durni, tchórzliwi i przekupni. Nic zaskakującego. Lecz problem tkwił przecie

¹ W związku z publikacją Czesława Madajczyka, *Klerk czy intelektualista zaangażowany? Świat polityki wobec twórców kultury i naukowców europejskich w pierwszej połowie XX wieku*. Poznań 1999, ss. 584.

Uwagi poniższe opracowano na kanwie wprowadzenia do dyskusji, które wygłosił piszący te słowa. Dyskusja, której wyniki również częściowo uwzględniam, z udziałem Autora odbyła się 29 listopada 1999 r. na zebraniu Towarzystwa Naukowego im. Adama Próchnika. Wypowiadali się m.in. prof. prof. K. Dunin-Wąsowicz, J. Kancewicz, L. Kieszczyński, W. Stankiewicz.

nie w rozczulającej prostocie diagnozy, a w jej — o paradoksie — uwodzicielskiej sile oddziaływania szczególnie na młodzież, również studencką. Pod nieobecność wytlumianej wiedzy o czynnikach, które składały się na wybory ideowe sprzed dziesiątków lat — o intelektualistach świadomości społecznej, o wyznawanych przez nich wartościach, o świecie wewnętrznym ich dylematów, alternatyw, motywacji — po 1989 r. krzewiła się bujnie kolejna wiara. Wiara tym bardziej uproszczona i mocna równocześnie, że zasadzała się na argumentie skutku jako przesądającym spory i problemy. Głoszono: komunizm we wszystkich swoich stadiach i odmianach był złem tak oczywistym, że tylko ludzie „ze skazą charakteru” mogli go akceptować. A już wyznający ideologię komunistyczną inteligenci — jak przez lata przy potulnym wyczekiwaniu środowiska pouczali fanatycy nowej odmiany — z całą pewnością byli ludźmi z gruntu złymi, godnymi pogardy, napiętnowania i kary.

Tymczasem za granicą pod uproszczeniami mylącymi wyobrażenia o komunizmie sprzed wielu lat z jego osądem po 1989 r. również nie wszyscy konserwatywni intelektualści się podpisali. Znamiennym tego przykładem był Ernst Nolte — jeden z najbardziej kontrowersyjnych historyków niemieckich. Domagając się w 1996 r. co najmniej równie totalnego potępienia „komunizmu” jako formacji państwowej jak nazizmu, równocześnie do akcesów do ruchu komunistycznego sprzed i po II wojnie odnosił się ze zrozumieniem i nawet szacunkiem. W dyskusji i polemikach z ekskomunistą (od połowy lat pięćdziesiątych) François Furetem napisał: Nie wypomnę Panu działalności w FPK, bowiem „nawet jeśli historia zadała kłam utopiom głoszonym przez ruch marksistowsko-komunistyczny, to przecież było w nim coś wielkiego — i ci, którym pozostał obcy, powinni mieć dzisiaj większe wyrzuty sumienia niż ci, którzy się w niego zaangażowali”².

Niemniej jednak argument skutku, czyli tendencja do osądzania ludzkich intencji i motywacji z pozycji *ex post*, był równie nadużywany, co i dla inicjatorów efektywny, nie stanowił bowiem ani wyjątku, ani precedensu.

Rzecz chyba w tym, że upływający czas nieuchronnie modeluje opinie o ludziach na obraz kolejnych pokoleń — ich doświadczeń, wartości i pojęć. Historia bowiem — jak wiadomo — wbrew tyleż szlachetnym, co i naiwnym zakłębom, to jednak najczęściej tyle samo, co rzutowana wstecz współczesność; rzutowana nie tylko złą wolą czy złymi intencjami, choć i te w okresie przełomów szczególnie grają swoją rolę, lecz gorzej — tłumacząca się przede wszystkim ułomnością samego procesu poznania. Że tenże umykający czas równie niezawodnie deformuje pierwotny świat postaw i zachowań, zacierając współokreślające je motywacje, intencje, subiektywne cele jednostek i grup ludzkich. W takich wypadkach w przywracaniu „prawdy historycznej” szczególną rolę odgrywa literatura faktu. Nieprzypadkowo tak żywo witane są odkrycia pamiętników, dzienników czy notatek — najlepiej wielkich kontrowersyjnych postaci historycznych, choć nie tylko.

Głównym zadaniem książki pozostawało przedstawienie „ważnych informacji [właśnie] o zachowaniach i postawach intelektualistów”, a także o uwarunkowaniach tychże postaw i zachowań. Cel godny najwyższego uznania tym bardziej, że jego osiągnięcie jest niesłychanie trudne. Dlaczego? Reakcje i dokonywane przez intelektualistów wybory nie zachodziły w próżni, najczęściej pozostawały w oczywistym związku z tak zwanymi faktami obiektywnymi, które współkonstruowały konkretny kontekst historyczny. Postawy i zachowania współ-

² Zob. korespondencja François Fureta i Ernsta Noltego z 1996 r., w: *Przekleństwa chodzą parami*, „Gazeta Wyborcza”, 5–6 grudnia 1998 (przedruk z: *Extraits du livre Fascisme et Communisme de François Furet et Ernst Nolte*, Plon 1998).

określała — co również wiadomo — nie tyle ta zewnętrzna rzeczywistość „sama w sobie”, co jej obraz, sposób jej postrzegania. O wywołaniu powstania warszawskiego (godziny „W”) — by się posłużyć znanym przykładem — nie rozstrzygała faktyczna sytuacja na froncie wschodnim, lecz jej wizerunek w świadomości podejmujących decyzję. Równie trudno zrozumieć intelektualistów, nie mówiąc o ich osądzaniu, bez uwzględniania aspektu subiektywnego ich zachowań.

Na ahisteryczne przedstawianie przeszłości, również tej w tym miejscu nas interesującej, najlepsze *antidotum* zdaje się stanowić możliwie szerokie wykorzystanie dokumentów autobiograficznych (dzienników, listów, notatek bieżących, pamiętników). Zasoby tego właśnie rodzaju dokumentacji są tak wielkie, że nie do opanowania choćby i przez wieloosobowy zespół badaczy. O pretensjach ogólnie formułowanych nie może więc być mowy. Niemniej uwidacznia się pewna nieprzystawalność podstawy do przedmiotu badań, który z natury swej bliższy jest przecież sferze zjawisk subiektywnych³. Przykładowo: zdecydowanie więcej zdań miarodajnych o postawach i zachowaniach intelektualistów polskich dałoby się sformułować, gdyby znacznie poszerzyć zbiór wykorzystanych dokumentów autobiograficznych ponad te pomieszczone w *Hańbie domowej* Jacka Trznadla.

Klerk czy intelektualista zaangażowany? Czy to zdanie, opatrzone znakiem zapytania, oznacza dylemat bądź imperatyw wyboru?

Klerk to zgodnie z ogólnie przyjętą definicją intelektualista programowo odcinający się od spraw bieżącego życia politycznego, ideologii i sporów światopoglądowych, wyznający zasadę niezaangażowania społecznego i politycznego. Można by pomyśleć, że to, czy się klerkiem jest czy nie, zależy od woli intelektualisty; chyba tak, ale nie każdego i nie w każdym wypadku.

Sławny uczyony, na przykład fizyk, chemik czy matematyk zamienia atrybut klerka na pozycję intelektualisty zaangażowanego w momencie, kiedy poszerzając swą działalność o zajęcia, które nie stanowią jego powinności zawodowych, zaczyna uczestniczyć w publicznym życiu ideowopolitycznym (wdaje się w głośne spory polityczne, przemawia na masowych zgromadzeniach, podpisuje manifesty, utożsamia się z określoną partią itp.). Nasz przykładowy matematyk rzeczywiście staje w obliczu dylematu, bo wybór klerka jest dlań i możliwy, i zależny od niego samego. Inna natomiast zdaje się być sytuacja przypisana wybitnym pisarzom, publicystom i uczonym humanistom. Ci wybierać nie muszą, oni — jeśli nie liczyć wyjątków — na los intelektualisty zaangażowanego raczej są skazani.

W wypadku humanistów, choćby ze względu na specyfikę ich sytuacji, należałoby mówić przede wszystkim o zaangażowaniu mimowolnym, zrodzonym mimo lub nawet wbrew woli. Takim zaangażowanym stawał się uczyony, pisarz, artysta, którego twórczość funkcjonowała w życiu publicznym niezależnie od jego intencji jako wartość wysoce kontrowersyjna, konfliktowa. Ta kategoria intelektualistów na utrzymanie reputacji klerka na ogół nie miała szans nawet wówczas, kiedy zaangażowanie byłoby utożsamiane z zamiarem, z suwerennym aktem

³ Psycholodzy i socjologowie rozdzielają analitycznie sferę behawioralną od sfery psychologiczno-swiadomościowej w przekonaniu, „iż nie można *a priori* zakładać istnienia jednoznacznych związków między działaniami i zachowaniami a takimi elementami świadomości, jak: wartości, cele, motywacje. Wydaje się, że należy każdorazowo rekonstruować faktycznie zachodzące związki między konkretnym zachowaniem a stanem świadomości jednostki działającej”. J. Lutyński, J. Koralewicz-Zębik, A. Wojciechowska, M. Żelazo, *Styl życia i systemy wartości* [...], w: *Przeobrażenia struktury społeczeństwa socjalistycznego* [...], red. W. Wesołowski i E. Wnuk-Lipiński, Warszawa 1978, s. 27.

woli. Warto by i to jeszcze mocniej podkreślić, że do akceptacji zaangażowania również początkowo niechcianego, wręcz prowokowały spiętrzające się w Europie sprzeczności, napięcia oraz związane z tym naciski wywierane także przez ludzi z najbliższego towarzysko–zawodowego otoczenia, nie tolerującego milczenia, ustawiania się z boku, neutralnie.

Wydaje się, iż nierówność szans lub niebezpieczeństw, w obliczu których stały obydwie kategorie intelektualistów, nie we wszystkich wypadkach i biogramach brana jest pod uwagę z równą konsekwencją.

Na czym polega zaangażowanie; czy i w jakim stopniu jego cechy poddaje się wartościującym ocenom?

Jak podkreśla Autor, pojawiający się po doświadczeniach pierwszej wojny i pierwszych rewolucji XX w. intelektualista zaangażowany „żywił awersję do demokracji parlamentarnej i społeczeństwa burżuazyjnego”, a interes ogółu stawiał ponad indywidualnym. To tenże intelektualista właśnie uniwersalnym wartościom (wolność, prawda, sprawiedliwość) „przeciwstawiał utopię [nie lepiej byłoby powiedzieć wizję? — H. S.] rewolucyjną” (s. 320, 531). Nie ma zasad uniwersalnych — twierdzili marksiści — w znaczeniu: istniejących niezależnie od czasu, miejsca, społeczeństwa. Wolność do czegoś lub od czegoś czy kogoś, jak i pozostałe dwie zasady nie dla wszystkich grup nowoczesnego społeczeństwa europejskiego oznaczała jedno i to samo. Liczyły się przede wszystkim: dla jednych — pełna ochrona i rozrost wielkiej własności, wolny rynek, pełna swoboda rywalizacji i eliminowania słabszych konkurentów; dla innych — wolność myśli, wolność jednostki, równość wobec prawa, prawda (dla górnych warstw inteligencji); a dla świata pracowniczego — wolność od bezrobocia, prawo do minimum egzystencji materialnej (prawo do życia — jak to określał Witold Kula) i wolność od wykluczenia ze społeczeństwa (jak pisze prof. Michael Walzer o dzisiejszych najsłabszych grupach Amerykanów)⁴.

Sprawy wolności zachodnich również przez intelektualistów polskich były różnie rozumiane i odczuwane. Reakcje na stosunki na Zachodzie nawet w latach 50. nie były jednolite. W tym samym czasie, kiedy Czesław Miłosz „wybrał wolność” — jak wtedy mówiono — liberał Antoni Śłonimski tę samą wolność porzucił. A Marię Dąbrowską zadziwiła akurat decyzja Miłosza.

Wracał w 1951 r. Śłonimski — a od 1955 r. szli jego śladem inni — bo nie mógł się przystosować, nie odpowiadała mu sytuacja intelektualisty na Zachodzie. Podobne było źródło ogromnych rozczarowań pierwszych emigrantów — dysydentów. Jak opisywał Adolf Rudnicki — częsty bywalec m.in. Paryża — dysydenci, wrzuceni do kotła Zachodu, umierali, tyle że jedni śmiercią gwałtowną, drudzy zaś powolną.

„Znalazłszy się na Zachodzie, dysydent widzi — pisał Rudnicki — jak powoli sprawdzają się wszystkie lęki, które gryzły go czasami. Przybyły jest przede wszystkim człowiekiem idei, dopiero w zetknięciu z bezideową Europą widzi on to tak dokładnie. Zachód niczego się tak nie boi, jak ludzi idei, zwłaszcza jednej idei. Zachód krzyczy pluralizm, a różnice rozwiązuje mu pieniądź (...) Dysydenta gniewa pluralizm Zachodu, mierzi władza pieniądza (...) Dysydent z rozpaczą powtarza sto razy w ciągu dnia: kupcy, kupcy... Wolności potrzeba im przede wszystkim jako kupcom (...)”

Dysydent widzi to wszystko. Rośnie jego osamotnienie, brzydnie sam sobie (...) Zachód zabija dysydentów. On jeden zabija ich skutecznie. On ze swą szeroką duszą lub, jeśli wolicie, ze swym całkowitym brakiem duszy⁵.

⁴ M. Kalzer, wypowiedź w: „Forum” nr 3, 18 I 1998 [przedruk z: „Le Monde”, 18 XII 1997].

⁵ A. Rudnicki, *Rogaty warszawiak*, Kraków 1981, s. 47–48.

Na koniec tego fragmentu uwag wątpliwość nie tylko czy nawet nie przede wszystkim w stronę omawianej książki kierowana. Czy warto kwalifikować, zwłaszcza negatywnie, samo odstępstwo intelektualisty od systemu wartości uniwersalnych, co znaczy najczęściej oficjalnych? Czy nie należałoby rozpatrywać — choćby i jednocześnie — wielorakich zestawów wartości jako na równi prawomocnych dla poszczególnych grup społeczeństwa po to, by w ten sposób konkretyzować odniesienie politycznych sympatii i wyborów, dokonywanych przez intelektualistę? Te drugie, choć również dyskusyjne, wydają się słuszniejsze.

Czy samo angażowanie się przesądza o zdradzie klerka? Tak, w przypadku biorących stronę faszystów lub komunizmu. Niejasna jest natomiast kwalifikacja przypadków, gdy intelektualista francuski lub angielski na przykład podejmował działania polityczne na rzecz utrzymania i utrwalania *status quo* ówczesnego państwa i ładu ustrojowego. Wreszcie polityczni opozycjoniści w państwach „komunistycznych”, którzy podejmowali działania na rzecz restauracji stosunków przedrewolucyjnych, o ewentualną zdradę klerka nie są nawet pytani. W istocie pytanie staje się kłopotliwe. Czy w ogóle nie należałoby zeń zrezygnować, bo wydaje się ono jeśli już nie sztuczne, to przynajmniej dość abstrakcyjne?

Chodzi raczej nie o zdradę klerka, a prawdy historycznej, która — co znakomicie obrazuje również książka — relatywizowana jest odpowiednio do możliwości i potrzeb wyznaczanych przez zmieniającą się doraźną rzeczywistość polityczną. Kto ma wątpliwości, niech prześledzi kształty prawdy o podstawowych filarach tematu — o faszyzmie, nazizmie, „komunizmie” i ich wzajemnych relacjach w oczach intelektualistów.

W okresie przyjaznych bądź poprawnych stosunków państwowych z ZSRR (lata czterdzieste) w zachodnich śródkach informacji i nauk społecznych „komunizm” korzystał bądź z rehabilitacji — czyli dość powszechnego uwydatniania jego zalet (mniej więcej do połowy 1947 r.), bądź ze swoistego prawa łaski — z powstrzymywania się od ataków skrajnych, czy choćby tylko ocenianych jako nazbyt ostre. Sytuacja zmienia się ostatecznie po uformowaniu dwóch wrogich wobec siebie bloków (powstanie ChRL, blokada Berlina, utworzenie dwóch państw niemieckich, wybuch wojny koreańskiej itd.). W obliczu nowego zagrożenia Zachód zawiesza kampanię rozrachunkową wobec nazistów, a następnie, stopniowo, i wobec nazizmu. Nieprzypadkowo w 1951 r. ukazuje się głośna książka Hanny Arendt.

Odtąd ścierać się będą dwie tendencje. Obydwie, akceptując założenie H. Arendt, potraktują „komunizm” i nazizm jako formacje porównywalne. Na tym jednak przez dłuższy czas zgodność się kończyła. W okresie międzynarodowego odprężenia odnotowuje się jeszcze cechy „komunizmu”, które odróżniały go względnie korzystnie, natomiast tuż po 1989 r. niemal powszechnie będzie głoszony pogląd, iż system „komunistyczny” był równie albo i bardziej zbrodniczy niż faszyzm i nazizm.

Samej Hannie Arendt, porównującej totalitaryzmy Hitlera i Stalina, umknęła sprawa kryteriów „rasy” i „klasy”. Polskim Żydom, przynajmniej poważnym intelektualistom — jeśli nie liczyć Leopolda Tyrmanda — nie miało się to przydarzyć. I nie tylko im zresztą. Obok Alana Bullocka polemizował z Arendt, skądinąd zagorzały adwersarz komunistów, Raymond Aron, podkreślając właśnie różnice między ideologią komunistyczną o charakterze „uniwersalistycznym i humanitarnym” a nazistowską, postrzeganą jako „nacionalistyczna, rasowa i zgoła niehumanitarna” (s. 72).

Bodaj liderem osobliwego „rewizjonizmu” pozostawał od 1986 r. Ernst Nolte. Rewizjonizm ów, wykorzystując falę wzbierającej od początku lat osiemdziesiątych antykomunistycznej koniunktury, próbował rozjaśniać obraz faszyzmu i nazizmu na drodze relatywizowania jego przeszłości. Nolte przekonywał, iż faszyzm hitlerowski nie był złem genetycznie niemiec-

kim, był zjawiskiem wtórnym o uwarunkowaniach zewnętrznych. Zło rodziła jakoby zwycięska rewolucja bolszewików, w kierownictwie których — na domiar — główne role grali Żydzi.

Z wielu powodów destrukcją rewolucyjną najbardziej były zagrożone Niemcy Weimarskie. Proletariat był zrewoltowany. A eksterminacja burżuazji w Rosji — jak pisał Nolte — dodatkowo tak przstraszyła niemieckie elity i mieszczaństwo, że ratunku szukały one w dyktaturze Hitlera. Dalej. Przyznawał wprawdzie Nolte, że zagłada Żydostwa stanowiła dla nazistów cel samoistny, lecz sam potraktował Żydów jako zorganizowaną grupę przeciwników Hitlera, ponieważ byli sprzymierzeni z jego wrogami (z bolszewikami i w 1939 r. z Anglią). A pierwowzoru owej zagłady doszukiwał się w wyniszczeniu rosyjskich burżujów i kułaków. Twierdził ponadto, iż idea Gułagu inspirowała tworzenie obozów, również tego w Oświęcimiu, stanowiących symbol antyżydowskiego ludobójstwa.

„Ja — ripostował w 1996 r. Furet — inaczej widzę źródła nazizmu. Należy ich szukać w samych Niemczech, w niemieckiej kulturze z okresu grubo poprzedzającego rewolucję bolszewicką”. Furet przestrzegał, iż wskazując na związek genetyczny faszyzmu z bolszewizmem, Nolte może się narazić na zarzut usprawiedliwiania w ten sposób nazizmu, tym bardziej, że jego tezy obronić się nie dadzą; w latach 80. tego rodzaju zarzuty formułowali też polemisi niemieccy (przede wszystkim Jürgen Habermas).

„Gułag rzeczywiście poprzedzał Oświęcim — pisał Furet — ale czynienie z tego czasowego następstwa związku przyczynowo–skutkowego nie jest usprawiedliwione”. Bezspona też była obecność wielu Żydów w kierownictwach poszczególnych partii komunistycznych. Lecz Hitler i naziści nie potrzebowali tego faktu, by spotęgować swą nienawiść do Żydów, bo ta datowała się od okresu o wiele wcześniejszego niż rewolucja październikowa. Przecistawiając się jednoznacznie niedopowiedzeniom, nie tylko zresztą Noltego, Furet napisał wprost: „Antysemityzm jest uczuciem obcym rewolucji rosyjskiej (nawet jeśli Stalin je później wykorzystał) i nie sądzę, byśmy w wypowiedziach Hitlera mogli znaleźć porównanie eksterminacji kułaków i Żydów (...) Nie potrzebował on sowieckiego precedensu, aby wymyślić, zaplanować i nakazać likwidację Żydów”.

Furet, dzieląc równocześnie zarzuty o masowych zbrodniach „komunistycznych” jako niczym nie dających się usprawiedliwić (masakra „kułaków” w latach 30., mord w Katyniu, potworności „wielkiego skoku” w Chinach, ludobójstwo w Kambodży), przypominał, iż tylko naziści z wymordowania całego narodu czynili cel sam w sobie, mordowali miliony ludzi tylko dlatego, że urodzili się Żydami, „niezależnie od jakichkolwiek zrozumiałych powodów wynikających z walki o władzę”. Niepowtarzalność Holocaustu wyrażała się w tym, że „terror antysemicki pozbawiony był jakiegokolwiek związku ze sferą polityki, w której się narodził”. Komunistów wreszcie, również zdaniem Fureta, odróżniała pozytywnie „szlachetność intencji”. W sumie — jego zdaniem — słuszne jest to, że „faszyzm i komunizm nie są potępiane w równym stopniu”.

Nolte niby się nie sprzeczał, również z twierdzeniem o szlachetności komunistycznych wizji; lecz zapytywał przewrotnie, czy ruchu, „który w rzeczywistości wszędzie, gdzie zapanował przy użyciu przemocy, pochłonął gigantyczną liczbę ofiar [nie należałoby] oceniać surowiej niż partię, której intencje z góry można określić jako złe”.

Nolte nadal bronił przekonania, by rewidować, czy przynajmniej tonować antynazistowskie oskarżenia argumentem kluczowym — choć, a może i dlatego bardzo dyskretnie wyrażonym — że dla Zachodu nadal niebezpieczny jest nie nazizm, lecz komunizm.

„Przypuszczenie — pisał we wstępie do swej pracy, która ukazała się w 1987 r. — że któregoś dnia w Niemczech nowy Hitler mógłby zwabić masy na niebezpieczne manowce,

a nawet urzeczywistnić nowy Oświęcim, zawsze było nieuzasadnione, a dziś jest po prostu głupie”⁶.

Zapewne cezurą w obrazie historii czasów najnowszych stanie się *Czarna księga komunizmu* nie dzięki swym szczególnym osiągnięciom poznawczym, lecz wprost na odwrót; wskutek doprowadzenia — we wstępie do niej szczególnie — tendencyjności i uproszczeń do takiego apogeum absurdu, który nie mógł nie wywołać protestów i polemik również ze strony ludzi komunizmowi niechętnych, lecz uczciwych intelektualnie. W tym kierunku w listopadzie 1997 r., bodaj jako pierwszy na Zachodzie, zareagował „Le Monde” dwoma artykułami tak znamiennymi, że warto je omówić, z konieczności, niestety, bardzo skrótowo.

W artykule autorstwa dwóch pracowników francuskiego Ośrodka Badań Naukowych (CRNS) — Georges Minka i Jeana Szurka — pada zarzut, iż *Księga* utożsamia komunizm z nazizmem, przyjmując arbitralnie trzy założenia: 1) „zbrodnia klasowa” to tyle samo „co zbrodnia rasowa”, 2) komunizm — to „system przestępczy”, 3) „ofiary czystek czy głodu” — to żadna różnica. Autorzy odrzucając podówczas jeszcze niemal obowiązkową konwencję wypowiedzi, nad dedukcją i moralizowaniem przedkładają fakty. Odwołując się do nich pytają: jeśli komunizm był systemem przestępczym, to jak wytłumaczyć zwycięstwa odniesione w wolnych demokratycznych wyborach Aleksandra Kwaśniewskiego nad Lechem Wałęsą, a Brazauskasa nad Landsbergisem? Dlaczego Amerykanie — politycy i profesorowie — i byli główni opozycjoniści z „Solidarności” — prowadzą w Jachrance pod Warszawą wielodniowe dyskusje z symbolizującymi ów „system przestępczy” generałami Wojciechem Jaruzelskim i Czesławem Kiszczakiem oraz z byłymi pierwszymi sekretarzami KC PZPR Mieczysławem Rakowskim i Stanisławem Kanią? Czyżby zwykli ludzie i byli opozycjoniści nie pamiętali „o zbrodniach, które zwalczali?” Dla polemistów, inaczej niż dla autora wstępu do *Księgi* Stephane’a Courtois, już tak wysłuchane w Polsce pytanie o amnezję niewdzięcznego społeczeństwa jest pytaniem bezprzedmiotowym.

Polemiści, prezentując ogólny pogląd, wręcz przeciwny, stwierdzają, iż pod względem genezy, programu i historii „wszystko różni komunizm od nazizmu”. W krajach europejskich, przeważnie wiejskich pod rządami „komunistycznymi” dopełniały się przeobrażenia struktur społecznych i ekonomicznych na miarę rewolucyjną nie tylko ze względu na ich skalę, lecz i charakter. Współtworzyły one wielką szansę również dla Polski z lat dziewięćdziesiątych. Przekształcały bowiem w pozytywnym kierunku świadomość społeczeństwa i — o paradoksie — elit „komunistycznych” do tego stopnia, że już w okresie przełomu „krajobraz społeczny był gruntownie zmieniony”. „Z chwilą upadku komunizmu — przekornym zdaniem autorów — należałoby raczej mówić o społeczeństwach typu socjalistycznego niż o komunizmie, które to słowo wykorzystuje się w sposób stronniczy”.

„Komunizm” ma swoją historię, zmieniał się. Po krwawym stalinizmie nastąpił komunizm zwany rewizjonistycznym (przypadek polski, 1956 r.), a następnie „socjalizm z ludzką twarzą” (przypadek czechosłowacki, 1968 r.), czy socjalizm konsumpcyjny (Węgry). W okresie przełomu „siły reformatorskie” w partiach komunistycznych opowiedziały się otwarcie za deso-wietyzacją i gospodarką rynkową, a promineneci z nomenklatury gospodarczej, rozporządzając kapitałem kulturowym i materialnym, potrafili „dostosować się do neokapitalizmu, a nawet negocjować i antycypować jego powstanie z pozycji siły”. Na tej drodze bardzo liczni promineneci szukali wyjścia z komunizmu, „wyjścia honorowego” [nie trafniej by było powie-

⁶ Na podstawie cyt. korespondencji François Fureta i Ernsta Noltego.

dzie: wyjścia upragnionego?], ale to już oddzielny problem. Z komunistycznego aparatu — brzmi konkluzja — będą się wywodzić zwycięzcy i zwyciężeni okresu przejściowego. Ci pierwsi mają słuszne prawo do współautorstwa przełomu⁷.

Drugi, nie mniej krytyczny, artykuł pióra prof. Anette Wiewiorka, odnosi się głównie do wstępu Stephane Courtois, który pod szyldem „naukowości” po prostu proponuje zastąpić „w pamięci narodów zbrodnie nazistowskie przez zbrodnie komunistyczne”.

Aby to osiągnąć, Courtois przenosi kategorie prawne Norymbergi — zbrodnie przeciw pokojowi, zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciw ludzkości — na przestępczość komunistyczną, choć nikt z badających nazizm takiego zabiegu nie stosował. Zresztą słusznie, bo korzystając z takiego instrumentarium, można by wprawdzie opisać również zbrodnie kapitalizmu (wojny 1870 i 1914–1918, krwawe praktyki w koloniach itp.), lecz wiedzy historycznej w ten sposób by się nie wzbogaciło. Następnym z pseudonaukowych, mamiących zabiegów Courtois polega na posłużeniu się słownictwem, przy pomocy którego Paul Hilberg opisywał postępowanie nazistów wobec wyniszczanych Żydów: „rozstrzeliwanie”, „śmierć z głodu”, „planowe unicestwienie”, „eksterminacja”, „deportacja”. Wreszcie Courtois — zdaniem Profesor — ignoruje fakt, że ludobójstwo Żydów weszło do analiz nazizmu jako centralny punkt dopiero w latach siedemdziesiątych, a w zbiorowej pamięci narodów europejskich utrzymało się jeszcze później, już po wielkich hekatombach komunizmu. Trudno więc zgodzić się z tezą Courtois, że pamięć o ludobójstwie dokonanym na Żydach była tak powszechna, że już nie stało w niej miejsca na utrwalanie zbrodni komunistycznych.

„Ambicją *Czarnej księgi komunizmu* — oskarżała autorka — jest zająć miejsce «Czarnej księgi» złożonej z tekstów i relacji zebranych przez Erenburga i Grossmanna na temat wyniszczenia Żydów radzieckich”. Nieprzypadkowo Courtois zrywa współpracę z Francois Furetem i Annie Kriegel, którzy, akcentując sprawę Żydów i ludobójstwa, dostrzegali jaśniejsze strony komunizmu.

Cóż z tego wstępu do *Czarnej księgi komunizmu* pozostanie? Dla tych — kończy dramatycznie Anette Wiewiorka — którzy interesują się moralnością, pozostanie wstęp „refleksją na temat zachłanności, z jaką synowie pożerają swych ojców i swe matki, zanim sami staną na czele hordy”⁸. Dodajmy od siebie: Iluż i w Polsce jest takich ludzi, którzy w imię kariery zadeptują pamięć o swych ojcach i dziadach — komunistach?

Niejako przedłużenie dyskusji na osi: zwolennicy — krytycy historiozofii *Czarnej księgi komunizmu* stanowiły głosy Alain Besancona i Leszka Kołakowskiego. Wystąpienie pierwszego powtarzało tezy: komunizm w wersji bolszewickiej i narodowy socjalizm to bliźnięta. „Obie doktryny odwołują się do wzniosłych ideałów (...) a równocześnie z obu wynika prawo, a nawet obowiązek zabijania”. „Komunizm i nazizm były w równej mierze zbrodnicze. Dlaczego zatem książek poświęconych nazizmowi jest z roku na rok coraz więcej; liczne muzea i wystawy przypominają o grozie tamtej zbrodni, a o komunizmie świat zdaje się zapominać?”⁹

A jednak to nie były bliźniaki — polemizował Leszek Kołakowski — bo już kryteria „klasy” i „rasy” obie ideologie zasadniczo dzielą. Komunizm ze swą ideologią przyciągał zupełnie innych ludzi niż faszyzm: takich, którzy naprawdę wierzyli w możliwość wyzwolenia

⁷ G. Mink i J. Ch. Szurek, *Historycy i polityka*, w: „Forum”, 4 I 1998 r., nr 1 (przedruk z: „Le Monde”, 27 XI 1997).

⁸ Ibidem.

⁹ A. Besancon, *Mysimy wszystko zapomnieli*, w: „Gazeta Wyborcza”, 22–23 V 1999 r. (przedruk z: „Commentaire” nr 80, Hiver 1997–1998).

ludzkości od trapiących ją plag — od nędzy, bezrobocia, prześladowań rasowych i narodowych, nienawiści, wojen. Jeśli nawet nowa wiara okazywała się kompletnym złudzeniem, to i tak wywoływała ona skutki nieznane nazizmowi; tylko w łonie komunizmu rodzi się jego krytycy i przeciwnicy. Tymczasem komunistyczni heretycy i dysydenci mieli odegrać ważną rolę w procesie, który podkopywał system od wewnątrz i spowodował jego ostateczny upadek.

Leszek Kołakowski, inaczej niż Mink i Szurek, nie bierze słowa komunizm w cudzysłów. Niemniej ogólne pojęcie komunizmu jest dlań prawomocne co najwyżej analogicznie, jak prawomocne jest pojęcie ssaków. Zatem tym razem i on sprzeciwia się skłonnościom do tego, „by dedukować rzeczywistą sytuację krajów komunistycznych z niezmiennej natury totalitaryzmu, nie zaś na podstawie analizy empirycznej”. Nie sądzi, by można było mówić zasadnie o zjawiskach ludobójstwa w krajach tak zwanej demokracji ludowej, czy tym bardziej o tym, że komunizm był równie zbrodniczy jak faszyzm. Podkreśla natomiast — czy nie po raz pierwszy od wielu, wielu lat? — iż poczynając od okresu tużpowojennego w gospodarce, oświacie i szczególnie w kulturze tych krajów dopełniały się pozytywne przemiany.

Ignorując wcześniejsze, nieomal chóralne, utożsamianie Polski powojennej ze sławetną „czarną dziurą” pisał: „Niesprawiedliwe byłoby opisywanie [komunizmu] jako kulturalnie bezpłodnego (...) Komunizm jako formacja kulturalna pozostawił ślady nadal widoczne i bardzo ważne w historii literatury, poezji, kina, teatru, malarstwa (...) Czy można to samo powiedzieć o historii kultury nazizmu? Nie wydaje mi się. W kulturze nazizm przyniósł jedynie spustoszenie i wandalizm”.

Również Leszkowi Kołakowskiemu jako nieoczekiwane i zadziwiające jawią się sukcesy wyborcze tak zwanych postkomunistów w większości krajów, które opuściły „imperium zła”. Te i im podobne zjawiska — zauważa — „są niezrozumiałe w świetle teorii, która zakłada, że komunizm jest jednym blokiem i składa się z jednolitych i nieruchomych kamieni”¹⁰.

Trudno nie zauważyć, i nie zgodzić się z tym, że koniec 1999 r., w którym spisują swe uwagi, zasadniczo odbiega od sytuacji przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy to powstał — jak się można domyślać — zasadniczy zrąb książki prof. Czesława Madajczyka. Dopóki rozstrzygał się zasadniczy konflikt interesów, właśnie przed dziesięcioma, czy i choćby jeszcze czterema laty, każdy środek, który przynosił oczekiwany skutek, był dobry; każdy, nie wyłączając aranżowanych zbiorowych mistyfikacji.

W szczególnej atmosferze przełomu lat nie tylko w odbiorze i reakcji tzw. ulicy: „komuniści” to faszyści, „komuna” to system przestępczy, to Targowica, Milicja Obywatelska to Gestapo, Polska Rzeczpospolita Ludowa to „czarna dziura” itd. itp. Co z tych skrajnych opinii się ostało? Nic lub prawie nic również w wypadku wielu osób, które wcześniej je wyznawały, czy wręcz współtworzyły. Zmieniały się punkty widzenia i prawdy wraz z odmiennymi potrzebami świata polityki, mediów i samych intelektualistów jako grupy społecznej, wraz z nowymi faktami oraz z nowym obrazem „poprawności politycznej”.

I na szczęście o tyle, że z przewyciężaniem nihilistycznej negacji dokonań 45 lat Polski np. postępuje rehabilitacja tysięcy inteligentów — „kolaborantów”. Jeśli dziś przyznaje się, że nawet w pierwszej połowie lat 50. — nie mówiąc o innych okresach — powstawały ważne dla pokoleń Polaków wartości, to autentycznych twórców tych wartości, choćby wtedy pozostających na stanowiskach, należałoby raczej symbolicznie nagradzać niż zniesławiać szafowanym do niedawna piętnem zbiorowego „kolaboranta”. Opinia publiczna i samych intelektualistów

¹⁰ L. Kołakowski, *Cóż tam, panie, w bibliotece?*, w: „Gazeta Wyborcza”, 22–23 V 1999 (przedruk z: „Commentaire” 1998, nr 2).

w tym właśnie kierunku ewoluje. Może z list „hańby” skreśli się ostatecznie np. nie tylko Ryszarda Manteuffla czy prof. Kulczyńskiego (pierwszego rektora Politechniki Wrocławskiej), ale i Tadeusza Manteuffla, pierwszego dyrektora powstałego w 1952 r. „stalinowskiego” Instytutu Historii PAN.

Nie może to nie cieszyć, i to podwójnie — proszę mi wybaczyć akcent osobisty. Po krzywdzącym bowiem tysiące inteligentów zamieszanu nastaje czas bardziej sprawiedliwych, wyważonych zachowań, a ja jestem pewniejszy również własnych racji. Niejako antycypując scharakteryzowane już wyobrażenia „paryskiej” trójki i Leszka Kołakowskiego, przed trzema laty kończyłem swoją książkę prowokującymi podówczas zdaniem: „Co więc począć z naszymi rodzimymi kolaborantami i gnidami? Może po prostu uznać ich za pozytywnych organiczników? Bo czyż pięknemu inteligenckiemu etosowi sprzeniewierzali się intelektualiści, którzy swym trudem przekuwali go w rzeczywistość, wspomagając rozwój kraju w latach 1945–1989”¹¹. Jaki „rozwój kraju”, jacy znowu „organicznicy” — oburzało się wielu możliwie głośno, z wiele znaczącą miną.

Profesor Czesław Madajczyk pisał pracę w okresie fatalnym, kiedy upadającej przeszłości przeciwstawiano przyszłość utkaną z marzeń i złudzeń, jak się dopiero później miało okazywać — często nie mniej gorzkich od tych niegdysiejszych. Obydwa odniesienia analiz i ocen były więc zwodnicze, często wprost dezinformowały. Być może dzisiaj Autor bardziej wyraziście ująłby relacje: intelektualiści a komunizm, faszyzm, liberalizm. Być może termin–pojęcie „komunizm” wzięłby w cudzysłów.

Być może warto by wprowadzić konsekwentnie słowo–pojęcie „wizja”, zamiast ahistorycznej, zmitologizowanej już formuły: „utopia rewolucyjna” czy „utopia komunistyczna”; kto z intelektualistów, wiążąc się z ruchem komunistycznym w latach 20. czy 50. miał świadomość tego, że poddaje się akurat „komunistycznej, zbrodniczej utopii?”

Być może warto by zwrócić większą uwagę na problem etycznej prawomocności krytyki skaz „komunizmu”, np. stylu życia wysokich dygnitarzy partyjnych okresu stalinowskiego. Hasła przeciwne osławionemu procederowi „żółtych firanek” — zrozumiałe w czasie „odwilży” w wypadku egalitarnie zaprogramowanych młodych komunistycznych intelektualistów, od wtedy aż po wczoraj musiały brzmieć dziwacznie i nielogicznie w ustach przeciwników jakichkolwiek form równości i socjalizmu. Przecież w świetle neoliberalnych kryteriów oceny ludzi, czy bodaj jeszcze bardziej na tle tego, co się wśród moralizujących dzisiaj elit wyprawia, właśnie ci pierwsi spośród „właścicieli Polski Ludowej” mienią się wprost żalonymi niedojdami życiowymi.

Być może warto by zauważyć, że również w imię dziś wyszydanych ideałów „zbawiania ludzkości” zastępy młodzieży porzucały zamożne mieszczańskie i inteligenckie domy rodzinne (często żydowskie), wybierając na ochotnika ciężkie warunki bytowania, nierzadko więzienie (bywało najpierw sanacyjne, następnie stalinowskie). Oni, odrzucając dobrodziejstwa losu w nadziei ulżenia innym, w odróżnieniu od świętych Kościoła nie mogli liczyć choćby na pozaziemską satysfakcję. Czyż przypadkowe były rozważania ks. prof. Józefa Tischnera z czasów jego młodości, by podzielić się z nimi misją: samemu zachować posłannictwo zbawienia wiecznego, a im pozostawić urządzenie doczesnego świata?

Być może wzorem Witolda Kuli, przewyciężając właściwy naszej humanistyce swoisty intellocentryzm, należałoby w większym stopniu uwzględniać racje nieinteligentkich grup

¹¹ H. Ślabek, *Intelektualistów obraz własny w świetle dokumentów autobiograficznych (1944–1989)*, Warszawa 1997, s. 209.

ludności. Być może jeszcze bardziej analitycznie wypadłoby odnieść się do systemu tak zwanych wartości uniwersalnych.

Przykładowe kwestie–pytania podnoszę w intencji, by w dalszych etapach badań Autor zechciał zadać je ewentualnie „swoim” intelektualistom. Intelektualiści bowiem — ściślej materiały przez nich wytworzone sprzed pięćdziesięciu i więcej lat — również w tej książce są tylko aktorami, przedmiotem. Autor jako reżyser dzieła rozporządza możliwościami większymi; to on zadaje pytania. Dla końcowego efektu badań ma to podstawowe znaczenie, jak nie bez racji bowiem pisał Witold Kula: materiały zwykle tak tańczą jak im pytania grają. Występuje jednak jeszcze — o tym również warto pamiętać — superreżyser książki. Jest nim kontekst sytuacyjny, czyli czas, w którym autor pisze swe dzieło¹². W okresie politycznych przełomów szczególnie ów czas przesądza często o charakterze stawianych pytań oraz o samej „prawdzie historycznej” i szerzej — o nowym obliczu historiografii. Również w naszym wypadku inne niż obecnie były one przed pięćmioma laty, nie mówiąc o latach wcześniejszych.

Nic straconego. Przy drugim wydaniu książki na kwestie dyskusyjne, mając już morze pracowicie zgromadzonych informacji i faktów, będzie można spojrzeć z dość zmienionej, bardziej zróżnicowanej perspektywy. Doświadczenie takiego porównania dla poglądu na historię współczesności jako naukę może mieć kapitalne znaczenie.

¹² Kontekst sytuacyjny to zbiór relacji faktu (problemu) do zjawisk w układzie synchronicznym, poziomym, aktualnym. Por. Z. Sokolewicz, *O podejściu historycznym we współczesnej etnografii polskiej*, w: *Studia z zakresu socjologii, etnografii i historii ofiarowane Kazimierzowi Dobrowolskiemu*, słowo wstępne A. Kutrzeba–Pojnarowska, M. Zychowski, Kraków 1972, s. 261.